

A może Być Boliwia cz IX

Do San Ramón

Gdzieś w grudniu 2003 roku Biskup mi powiedział:

- Kardynał domaga się, żebym dał kogoś z Wikariatu na wychowawcę do seminarium. Myślałem, żeby poszedł tam Enrique¹. Muszę więc poprzesuwać kilku księży. Myślałem, żeby Andrés² poszedł za niego do San Julián i Wilson³ do San Ramón. A ty zgodzisz się iść do La Asunta?

- Mogę iść. Jak tak jest potrzeba - odpowiedziałem - ale pod jednym warunkiem.

- Jakim?

- Że oddanie San Antonio będzie jak najpóźniej. Muszę skończyć szpital.

- Do końca lutego zdążysz? - zapytał.

- Nie. Tyle czsu nie potrzebuję. Zobaczmy lepiej kalendarz. Może być 15 lutego.

- To la Asunta będzie 7 lutego wieczorem, to sobota, a w niedzielę rano w San Ramón - planował Biskup.

- Tak mi pasuje. Na sobotę pojedę na przejęcie i w nocy wrócę do San Antonio, a wy jakoś tę niedzielę w Asuncie obstawicie - zaproponowałem.

- A jak zrobimy w San Antonio? Tu przyjdzie Sykstus⁴.

- No to Msza św. o godzinie 9.00, a o godzinie 16.00 poświęcenie szpitala - zaproponowałem.

- Dobrze, to już tak zapisuję. Ale na razie nic nikomu nie mów, bo jeszcze nie rozmawiałem z Wilsonem.

- A reszta się zgadza? - zapytałem.

- Jeszcze ze wszystkimi nie rozmawiałem. Zrobmy tak, we wtorek ci powiem przez radio. Tylko nie chcę jeszcze tego publicznie ogłaszać zanim nie ustalę ze wszystkim. Powiem ci tylko „tak” albo „nie”. Ty już będziesz wiedział o co chodzi i możesz poplanować swoje sprawy, a gdy załatwię wszystko, to ogłoszę publicznie.

¹ Ks. Enrique Vaca - Boliwijczyk, wówczas proboszcz w San Julián.

² Ks. Andrés Flores - Boliwijczyk, ówczesny proboszcz w San Ramón.

³ Ks. Wilson Villaruel - Boliwijczyk, ówczesny proboszcz w La Asunta.

⁴ O. Sixto Gajda OFM - pochodzi z Prowincji Wniebowzięcia M.N.P. w Katowicach, na jego miejsce poszedłem do Concepción, a on poszedł do El Carmen; następnie zmienił mnie w San Antonio, a obecnie jest proboszczem w El Puente i w Yotaú.

Rzeczywiście, w ów wtorek usłyszałem przez radio głos Biskupa:

- W tej sprawie, o której rozmawialiśmy: „tak”, powtarzam: „tak”.

Zaczął się maraton w szpitalu - dokończenie instalacji elektrycznej. W styczniu 2004 pojechałem na rekolekcje do Cochabamby. Po powrocie czekało mnie jeszcze ostatnie spotkanie kursu dla katechetów w San Antonio. W piątek 23 stycznia pojechałem do Concepción aby kupić kable i jakieś włączniki. Spotkałem się z Biskupem. Rozmawialiśmy o szpitalu, o nowej parafii. Powiedziałem też, że w poniedziałek znowu muszę przyjechać do Concepción na zakupy, bo po południu rozpocznę ostatnie spotkanie kursu dla katechetów. Pożegnaliśmy się ze słowami: „no to do siódmego w La Asunta”.

W poniedziałek 26 stycznia, wcześniej rano pojechałem do Concepción. Śpieszyło mi się, bo najpóźniej o godzinie 10.00 musiałem wybrać się w drogę powrotną, gdyż w południe miały już przyjść kucharki, aby przygotować wszystko do kolacji. Kurs dla katechetów miał rozpocząć się kolacją o 17.30, potem Msza św. i dwie godziny lekcji. Kiedy ze zrobionymi zakupami wjechałem na podwórze za katedrą w Concepción, powiadomiono mnie, że Biskup dzwonił z Santa Cruz i musi koniecznie ze mną rozmawiać. Poszedłem więc do jego biura i zatelefonowałem do niego.

- Co się stało? - pytam.

- Wszystko się pozmieniało. Są pewne problemy. Czy zamiast do La Asunta zgodzisz się iść do San Ramón?

- Może być San Ramón.

- Ale może już jakoś się nastawiłeś...? - zapytał.

- Przecież jeszcze nie zacząłem w La Asunta - odpowiedziałem - dla mnie nie ma problemu.

- To ci dziękuję. Acha, przejęcie parafii w niedzielę, 1 lutego o godzinie 9.00.

- Ale mój warunek jest aktualny, oddanie San Antonio 15 lutego. Zaraz po przejęciu wracam do roboty w szpitalu.

- Oczywiście, nic się nie martw. W niedzielę wszystko ustalimy i na te dwa tygodnie znajdziemy jakieś zastępstwo.

W San Antonio ogłosiłem, że w związku z moim przejęciem nowej parafii, w niedzielę 1 lutego nie będzie Mszy św. lecz Nabożeństwo Słowa, które poprowadzą siostry zakonne. W sobotę, ostatniego dnia stycznia wyjechałem do San Ramón. Kiedy już dojeżdżałem, zaczęły mnie nachodzić wątpliwości. Przecież przejęcie tej parafii było zapowiadane na 8 lutego. Czyżby Biskup się pomylił? Nie mogłem go źle zrozumieć, bo rozmawialiśmy po polsku, a nie po hiszpańsku. A może jednak źle go zrozumiałem? To

będzie cyrk. W San Antonio Msze św. odwołane i w następną niedzielę znowu odwoływać...

Dojechałem do San Ramón. Przywitałem się z proboszczem i od razu zapytałem:

- Kiedy jest przejęcie: jutro, czy za tydzień?

- Jutro o godzinie 9.00 - odpowiedział. I dodał - Tak ustalił Biskup.

Kamień spadł mi z serca - nie ma żadnej pomyłki.

Następnego dnia około godziny 8 dojechał Biskup. Ustaliliśmy jeszcze przebieg Mszy św., która, planowana na godzinę 9.00, rozpoczęła się prawie pół godziny później. Punkt 9.00 kościół był pusty. Na Mszy św. Biskup odczytał dekret, wręczył mi klucze od kościoła i... byłem teraz proboszczem na dwóch parafiach oddalonych od siebie o 100 km polnej drogi. Przecież San Antonio jeszcze nie oddałem, a San Ramón już przejąłem. Po Mszy św., na obiad przyjechał ks. Wilson, ten który pierwotnie miał być proboszczem w San Ramón. Teraz, za tydzień miał objąć San Julián. Zażartowaliśmy: Z pomiędzy

- Dlaczego Wilson nie został proboszczem w San Ramón?

- Bo jako rasowy Boliwijczyk spóźnił się na Mszę św. i Biskup mianował kogoś innego.

- A teraz musi się pilnować, by nie spóźnić się do San Julián, bo proboszczem zostanie Ruperto⁵, który jest już tam wikarym.

Żartowaliśmy tylko do czasu, kiedy usłyszeliśmy, że „jedna pani drugiej pani” zaczyna to powtarzać i nie jako żart, tylko serio.

Jeszcze tego samego dnia wieczorem pojechałem na erygowanie nowej placówki sióstr służebniczek w Villa Paraiso, wiosce należącej do parafii w El Fortín. Następnego ranka pojechałem na erygowanie nowej placówki sióstr sercanek do wioski Puerto Rico należącej do parafii w Cuatro Cañadas. Gdy byłem na tych dwóch uroczystościach, nie przypuszczałem jeszcze, co mnie tam będzie czekało. A miało mnie czekać? Dni skupienia. Raz w miesiącu jeździłem do każdego z tych domów: do Villa Paraiso przez dwa lata, a do Puerto Rico przez cztery lata.

Jeszcze tego samego dnia, w poniedziałek 2 lutego spotkałem się z murarzem, któremu zleciłem kilka prac w domu i pojechałem do San Antonio. Te dwa tygodnie były zabójcze. Wstawałem o godzinie 5.00, potem toaleta, modlitwy i herbata. Na godzinę 6.00 szedłem do szpitala, bo o tej godzinie mogłem pracować na strychu. Było już widno, ale jeszcze słońce nie grzało.

⁵ Ks. Ruperto Rodríguez - Boliwijczyk, obecnie proboszcz w San Julián.

Około godziny 8 dach zaczynał się nagrzewać. Po 20 minutach strych zamieniał się w piekarnik. Praca trwała bez przerwy do godziny 18.00. Szedłem do domu, brałem prysznic i jadłem obiadokolację. O godzinie 19.30 Msza św. Potem reszta brewiarza, papierkowa robota i o godzinie 24.00 (a czasami 2.00) spać. W piątek, 13 lutego, po raz ostatni poszedłem do szpitala i o godzinie 17.00 ukończyłem wszystkie prace. Teraz spokojnie mogłem oddać parafię i szpital. W sobotę przyjechał o. Sykstus, a Biskup w niedzielę rano. Mszę św. tak przygotowałem, aby przebiegała w niej akcent powitania nowego proboszcza. No ale, niestety ludzie przeakcentowali pożegnanie proboszcza odchodzącego. Następnie zakonnice zaprosiły nas na obiad. W tym czasie, już starym zwyczajem był przygotowywany obiad dla wszystkich uczestników Mszy św. (to był już drugi, który mieliśmy jeść w tym dniu). Po południu poszliśmy do szpitala. Tam było poświęcenie. Na końcu burmistrz poprosił Biskupa o poświęcenie nowej linii autobusowej z San Antonio do Santa Cruz i zaprosił nas na... obiad. Wieczorem Biskup wyjechał. Ja jeszcze przenocowałem w San Antonio, a następnego dnia rano pojechałem do San Ramón.

W nowej parafii

Sytuacja w parafii była opłakana. W domu brakowało wszystkiego: talerzy, sztućców, garnków, ręczników, pościeli, narzędzi; kuchenka gazowa popsuta, wszędzie bałagan, w lodówce zbutwiałe jedzenie, samochód jeszcze jeździł, ale był do kapitalnego remontu. Ludzi w kościele bardzo mało, wioski zaniedbane. Msze św. rozpoczynały się 10 - 20 minut później przy 5 osobach w kościele. Potem schodziła się reszta. Pieśni śpiewane bez sensu (w śróde popielcową pieśń na wejście rozpoczynająca się słowem Alleluja). Młodzież przez całą Mszę św. siedziała, klękali tylko starsi, którzy byli w ławkach. Rozmowy w kościele na cały głos, wiele z nich nie cichło nawet podczas Mszy św., dzieci krzyczały, goniły się w kościele lub przed nim. Gdzie ja przyszedłem?

Na Wielkanoc 1953 roku do kilku hacjend w pobliżu rzeki San Julián dotarli franciszkanie, którzy od dwóch lat pracowali w oddalonym o 44 km San Javier. Postanowili założyć nową parafię. Zostali przyjęci na hacjendzie, która nosiła nazwę „San Ramón⁶”. Zdecydowali, że nowa parafia przyjmie tego świętego za patrona. Po trzech miesiącach przysłali nowego

⁶ San Ramón Nonato - Św. Rajmund Nienarodzony.

proboszcza, którym był o. Rikardo Erl ofm, franciszkanin pochodzący z Prowincji bawarskiej. Pierwszy wpis w księdze chrztów pochodzi z 1 lipca 1953 roku. Powoli zaczęła wyrastać wioska, potem miasteczko, które obecnie ma ponad 6000 mieszkańców. O. Rikardo był proboszczem przez ponad 40 lat. Trzymał wszystko żelazną ręką. Jakież było moje zdziwienie, gdy na jednym ze spotkań rady parafialnej zapytano mnie:

- Co zrobić, aby rozpocząć proces beatyfikacyjny o. Rikarda?

Po jego śmierci, następnii proboszczowie mieli trudne zadanie, bo wszyscy mówili „ale za o. Rikarda to było tak...” No i problemem było to, że nie potrafili utrzymać porządku, do którego ludzie byli przyzwyczajeni przez prawie pół wieku. Znajomość takiej sytuacji bardzo mi pomogła, bo do ustawienia wszystkiego na swoim miejscu wystarczyło zapytać:

- A jak było za czasów o. Rikarda?

- Tak i tak... - opowiadali.

- W przepisach Kościoła od tamtych czasów nic się nie zmieniło, więc do tego wrócimy.

Zacząłem od punktualnego rozpoczynania Mszy św. Muzycy mieli zegar, gdy wybijała godzina, zaczynali grać i śpiewać, wtedy wychodziłem z ministrantami z zakrystii. Do tego wytłumaczenie ludziom, jak ważne jest uczestniczenie w całej Mszy św., a co za tym idzie przychodzenie wcześniej, dało owoce. Teraz tylko nieliczni się spóźniali. Po pewnym czasie pochwaliłem ludzi, bo większość przychodziła do kościoła przynajmniej 15 minut przed Mszą św. Wiem, że to wbrew przepisom liturgicznym, ale przez prawie rok, zamiast niedzielnej homilii była katecheza o Sakramencie Eucharystii i o Mszy św. Tłumaczyłem każdy gest, każdą modlitwę, każde słowo. W kościele zrobiła się cisza. Ludzie wchodząc do świątyni klękali i modlili się w skupieniu. Głośniejszy i wyraźniejszy odpowiadali podczas Mszy św. Nie wychodzili zaraz po błogosławieństwie i, gdy skończyła się pieśń na wyjście, jeszcze w ciszy przez chwilę się modlili. Więcej też uczestniczyło w celebracjach. Na przeistoczenie klękali wszyscy, nawet ci, którzy stali na zewnątrz. W każdy wtorek po Mszy św. wprowadziłem wystawienie Najświętszego Sakramentu i modlitwy za wstawiennictwem św. Rajmunda. W każdy czwartek po Mszy św. była w ciszy krótka adoracja Najświętszego Sakramentu. Potem też, w pierwsze piątki miesiąca litania do Serca Jezusowego i akt oddania.

Oczywiście było to wszystko możliwe dzięki pomocy rady parafialnej, do której zaprosiłem ludzi, kiedyś współpracujących z o. Rikardo, a po jego śmierci „odstawionych w odstawkę”. Tych ludzi trzeba podziwiać. Kiedyś

dużo pracowali w parafii, potem o nich zapomniano, a mimo to nie zniechęcili się i bardzo chętnie wrócili, by dalej pracować. Tak jak przedtem, tak i teraz robili to bezinteresownie. Przykre tylko, że mój następca znowu im „podziękował za dalszą współpracę” no i na tym wiele stracił, bo pozbył się ludzi z wielkim doświadczeniem, a nowych też nie pozyskał.

Często widząc wiele zła i niedoskonałości chcemy wszystko zmieniać. Jednak wszystko musi mieć swój rytm. „Nie od razu Kraków zbudowano”. I to chyba najważniejsza zasada pracy duszpasterskiej. Nic się nie robi na drodze rewolucji, tylko ewolucji. Dlatego też zabrałem się za przygotowanie katechetów najpierw dla miasta i dla najbliższych dwóch wiosek. Pozostałe pięć musiało poczekać. Ale też dwa razy w tygodniu starałem się wyjeżdżać na wioski. Do objechania miałem ich sześć, bo kaplicę w siódmej traktowałem jako kościół filialny. Pierwsza Msza św. niedzielna w San Ramón była o godzinie 9.00. Po niej jechało się do Santa Rosa de la Mina (św. Róża z Kopalni, chodzi oczywiście o świętą z Limy, a „z Kopalni” wzięło się od tego, że kiedyś w pobliżu była kopalnia złota), a o godzinie 19.30 była druga Msza św. w San Ramón.

Z tymi dojazdami do Santa Rosa było różnie, bo raz Msza św. zaczynała się o godzinie 10.00, a innym razem coś się przedłużyło w San Ramón i ludzie na wiosce czekali do godziny 10.30 albo do 11.00. Innym problemem był fakt, że kilka lat wcześniej do wioski weszła sekta. Z około 700 osób, zostało tylko 70 katolików, a reszta poszła do sekty. Kiedy zacząłem tam dojeżdżać, zastanawiałem się, czy warto. Do kaplicy przychodziło z pięć, a w porywach dziesięć osób. Myślałem, żeby jeździć na inne wioski. Jednak czekałem jeszcze z decyzją. A tu z niedzieli na niedzielę zaczęło przybywać ludzi. Wróciło też kilka osób z sekty. Przełomem było wprowadzenie stałej godziny Mszy św. - o godzinie 11.00. Od tego czasu przychodziło na Mszę św. około 70 osób czyli 100% katolików. Dziękowałem Bogu, że nie zrezygnowałem z Mszy św. niedzielnej w tej wiosce.

W związku z tą wioską jest jeszcze inna sprawa. Specjaliści od duchowości mówią, że jest kilka szczególnych miejsc na świecie, gdzie jakoś inaczej człowiek się czuje, że jakoś łatwiej się modli, jakoś szczególnie odczuwa bliskość Boga. Jednym z takich miejsc jest kaplica cudownego obrazu Czarnej Madonny na Jasnej Górze. Coś podobnego odczuwałem właśnie w kaplicy w Santa Rosa de la Mina. Tam też ludzie inaczej reagowali na słowa kazania. Czuję, że mówię do nich, że oni słuchają, rozumieją. A kiedy Biskup zaproponował mi objęcie następnej parafii, powiedziałem mu:

- Z parafią ślubu nie brałem, jak jest taka potrzeba, to mogę iść.

Jednego tylko będzie mi szkoda: Mszy św. w Santa Rosa.

W czerwcu 2004 roku rozpoczęliśmy kurs dla katechetów. Pierwsze spotkanie trwało tydzień, następne odbywały się co dwa miesiące i trwały po dwa dni. Cały kurs trwał półtora roku. Godzinowo wychodziło tyle, ile trzymiesięczny kurs w jednym z ośrodków. Obok teologii dogmatycznej i moralnej, historii Kościoła, liturgiki oraz elementów Prawa Kanonicznego, katecheci przerabiali podstawy pedagogiki i metodologii. Jednak w trakcie kursu nie zajmowali się podręcznikiem dla dzieci do Pierwszej Komunii św. Po ponad pół roku (od 1 marca 2005), rozpoczęli pracę z dziećmi. Dlatego, aby zaliczyć kurs musieli zdać egzamin (test) oraz przedstawić konspekty przeprowadzonych katechez z całego roku. Widziałem, że kurs dał dobre wyniki. Od sierpnia 2005 roku rozpoczęliśmy przygotowanie do bierzmowania. Trwało ono do 22 kwietnia 2006, kiedy to Biskup udzielił tego sakramentu ponad stu kandydatom.

Doszedłem do wniosku, że dla mnie najpraktyczniej będzie oddzielić Pierwsze Komunie św. od bierzmowania. Z tego powodu, przygotowanie dzieci rozpoczynało się z początkiem roku szkolnego i kończyło około października - listopada, a przygotowanie do bierzmowania rozpoczynało się gdzieś w sierpniu, a sakrament był udzielany po Wielkanocy następnego roku.

Jednym z owoców mojego przygotowywania do bierzmowania w Concepción i współpracy z katechetami w Lomerío i San Ramón był podręcznik - notatnik dla kandydatów do bierzmowania. Tematy to: główne prawdy wiary, przykazania, sakramenty, Maryja i święci oraz Kościół. Prawie wszystkie katechezy zmuszały do pracy z tekstem Pisma św.

Znowu na urlop

Jak już wspomniałem, 22 kwietnia 2006 roku odbyło się bierzmowanie. Następnego dnia wyjechałem do Santa Cruz, by stamtąd polecieć na urlop. Wiedząc, że nie mam bezpośredniego lotu do Polski i muszę przesiadać się w którymś z krajów zachodniej Europy, tym razem postanowiłem lecieć przez Włochy. Pierwszą fazę lotu miałem odbyć na trasie: Santa Cruz, Buenos Aires, Rzym i dopiero po tygodniu chciałem lecieć do Warszawy. Na kilka dni przed wylotem z Boliwii poinformowano mnie, że rejs samolotu, którym miałem lecieć z Buenos Aires do Rzymu został odwołany. Jednak argentyńskie linie zaproponowały, bym zgodnie z planem 27 kwietnia po południu przyleciał do ich stolicy, oni zapewnią mi nocleg w hotelu, wyżywienie i transport, a dopiero następnego dnia lot do Rzymu.

Propozycja nawet mi się spodobała, bo to oznaczało darmowe popołudnie i wieczór w Buenos Aires. Na dwa dni przed wylotem dostałem inną ofertę: z Argentyny wylot tego samego dnia, ale z przesiadką w Madrycie. Za utrudnienie związane z przesiadką zaproponowano mi lot klasą biznesową (przelot w tej klasie jest pewnie droższy o jakieś 50%). Teraz miałem dylemat: noc w Buenos Aires, czy wygodniejszy przelot przez ocean. Wybrałem to drugie. Gdy w samolocie w Argentynie podszedłem do mojego fotela, steward zapytał:

- Czy mówi pan po angielsku?

- Nie. - odrzekłem - Po hiszpańsku.

- To dobrze, bo ja tutaj czekam na pana.

- A co się stało? Jakiś problem z moim biletem?

- Ależ nie! - szybko mnie uspokoił - Tylko mamy problem z pewną starszą panią. Ona ma siedzenie na górnym pokładzie, ale jest chora na nogi i nie może wejść po schodach. Czy pan się zamieni na miejsce?

- Wie pan - odpowiedziałem - przy 10000 metrów, 2 metry wyżej, czy niżej nie robi dla mnie żadnego znaczenia.

- Bardzo panu dziękuję! - odrzekł zadowolony - Proszę wejść do góry, tam stewardesa już na pana czeka. Może zaniosę panu bagaż?

- Nie, dziękuję - odparłem - nie jest ciężki.

Kiedy już wszedłem do góry, okazało się, że jest to pokład dużo lepszy niż klasa biznesowa. Jedzenie podawano na talerzach porcelanowych, sztucze srebrne, a szklanki kryształowe. Fotele rozkładało się prawie na płasko, spało się jak w łóżku. W Madrycie przesiadłem się do włoskiego samolotu. W Rzymie zabawna sytuacja. Blisko taśmociągu, gdzie odbierałem moją walizkę (małe 30 kg), było wyjście dla tych, którzy podróżowali w Unii. Dużo dalej było wyjście dla tych, którzy przylecieli spoza Unii Europejskiej: osobne dla obywateli Unii i osobne dla reszty świata. Pomyślałem, że nic mi nie zaszkodzi, gdy przy tym najbliższym wyjściu zapyta, czy mogę wyjść przez nie, czy muszę iść do następnego. Celnik tam stojący spojrzął na okładkę paszportu, a widząc, że to polski, choć zawieszka na walizce oznaczała, że przyleciałem spoza Unii, powiedział:

- Po co pan będzie chodził w koło, tutaj jest najbliżej.

Wyszedłem więc bez żadnej kontroli. Na lotnisku czekał już na mnie

o. Ernest⁷ z naszej Kurii Generalnej w Rzymie. Następnego dnia zrobiłem sobie spacer po Rzymie oraz poszedłem pomodlić się do bazyliki św. Piotra i do grobu Jana Pawła II. W poniedziałek pojechałem do naszych współpracowników w Chianciano Terme. Tam odpoczywałem. „Zaliczyłem” też Sienę. Po tygodniu poleciałem do Polski i wylądowałem w Warszawie. I tu wielki niesmak: W sali przylotów międzynarodowych ubikacja żywcem przeniesiona z jakiegoś wiejskiego dworca PKP z lat 80-tych. Na odprawie celnej „kulturalny” pan w zielonym mundurze (w wieku chyba poniżej 30 lat), swoimi burknięciami i miną przypominał celownika z PRL-u. O sali oczekiwania na bagaż lepiej nie wspominać. Tylko pomyślałem, że Okęcie jeszcze jest bardzo daleko za Santa Cruz, czy Buenos Aires, a tamte miasta przecież należą do tzw. trzeciego świata.

Urlop jak zwykle minął zbyt szybko i trzeba było wracać. Jakie było moje zaskoczenie, gdy wjechałem na podwórze w San Ramón, a tam czekał już komitet powitalny złożony z około 30 osób. Przyszła nawet mama jednego z kleryków z Wikariatu. Pewnie nie by było w tym nic dziwnego, gdyby nie to, że ona nie jest katoliczką, tylko protestantką.

⁷ O. Ernest Siekierka ofm - pochodzi z Prowincji św. Franciszka w Poznaniu, wówczas był Wicesekretarzem Generalnym naszego Zakonu, a obecnie jest Definitorem Generalnym.